

LITERACKA SKŁADANKA W HOŁDZIE IRON

IRON TALES

FRAGMENT

KYRCZ JR - RADECKI
FRON' - WOJCIECHOWICZ
TUROWSKI - KOTULAK



Z PRZEDMOWĄ KRZYSZTOFA AZAREWICZA

GŁOMORK

IRON TALES

© Copyright by Wydawnictwo Gmork Świątkowska Ryba Sp. j.
Imperium chmur, Oczy obcego, Szybki lub martwy © Copyright by Adam Froń
Biegiem, ku wzgórzom!, Reinkarnacja Benjamina Breega © Copyright by Kacper Kotulak
Stąd do wieczności, Żelazne dziewice © Copyright by Kazimierz Kyrzcz Jr
Łzy klauna © Copyright by Łukasz Radecki
Danse macabre, Przeprowadź córkę na rzeź © Copyright by Jarosław Turowski
Can I play with Charlotte?, Inne życie, Nieskończony sen, Ocean szaleństwa,
Strach przed ciemnością © Copyright by Juliusz Wojciechowicz

Wrocław 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Korekta i redakcja:
DOMINIKA ŚWIĄTKOWSKA
KAMILA ŚWIĄTKOWSKA
JUSTYNA MASERAK

Skład:
DOMINIKA ŚWIĄTKOWSKA

Ilustracja i projekt okładki:
MAGDALENA SPUREK

fragment książki

Wydanie I

*Żadna część tej pracy nie może być powielana i rozpowszechniana
w jakiejkolwiek formie i w jakikolwiek sposób, włącznie
z fotokopiowaniem, nagrywaniem na taśmy lub przy użyciu innych systemów, bez
pismemnej zgody wydawcy.*

Wydawnictwo Gmork Świątkowska Ryba Sp. j.
ul. Domeyki 16 53-209 Wrocław
www.gmork.pl
email: wydawnictwo@gmork.pl
tel: 795 626 546

LITERACKA SKŁADANKA W HOŁDZIE IRON MAIDEN

IRON TALES

(fragment)

ADAM FRON'
KACPER KOTULAK
KAZIMIERZ KYRCZ JR
ŁUKASZ RADECKI
JAROSŁAW TUROWSKI
JULIUSZ WOJCIECHOWICZ



OCEAN SZALEŃSTWA

Noc napierała oleistą czernią, pożerając resztki granatowych połąci nieboskłonu, gdy kierowałem kroki do mojej ulubionej knajpki. W powietrzu unosiła się ta specyficzna woń ozonu, która wypełnia eter zaraz po intensywnej burzy, kiedy niebo stygnie od piorunów, a przyroda nabiera głębokiego oddechu ulgi. Tyle że przez ostatnie tygodnie na burzę nawet się nie zanościło.

Somewhere in Time nie jest dużym lokalem, ot, kilkanaście dwu- i czteroosobowych stolików wtłoczonych w zamglone, skąpane w żółtawym świetle wnętrze o ceglanych ścianach, gdzie wklęsły sufit dźwigają masywne, drewniane stemple, a sękaty bele tworzą pod sklepieniem malowniczy i nieco groteskowy szkielet. Za barem w kształcie podkowy snuje się facet o posturze czołgu i twarzy mudżahedina; czasem przysiada na wysokim hockerze i czyści szkło, czasami polewa sobie kielicha, gdy klienci nie dopisują. Bobby da się lubić. Niezbyt rozmowny, nieco nieokrzesany, niechętny do zwierzeń, za to potrafi słuchać. Taki los barmanów. Terapeuci smutnych dusz.

– Oho, komuś wena przestała srać na łeb! – powitał mnie radośnie Bobby, kiedy wszedłem do lokalu, wybudzając ze snu uwieszony przy masywnych drzwiach nie mniej masywny pasterski dzwonek.

– Ostatnio za często tu bywam – odparłem, zajmując miejsce przy barze. – Wściekły pies i piwo! – Zamówiłem swój ulubiony zestaw naprawczy.

Somewhere in Time nawiedzam średnio raz na dwa, trzy tygodnie, zawsze kiedy mam głowę wypraną z pomysłów.

Czasem żartuję, że specjalnie dla mnie powinni zmienić nazwę na Sometimes in Nowhere. Nic tak nie dołuje pisarza, jak brak twórczej weny. To nie tak, że nieczęsto piję. Po prostu stronię od ludzi; zamykam się w czterech samotnych ścianach kawalerki nieopodal i piszę jak szalony, dopóki mam o czym. Czasem jednak źródółko wysycha, a kontakt z bliźnim jest jedynym sposobem na jego odrodzenie. Nie przepadam za tłumami, nie trawię barwnej, rozwrzeszczanej młodzieży, a tym bardziej sfrustrowanych dam w wieku przedmenopauzalnym, które po kilku kolorowych szotach opowiadają żalosne historyjki ze swoich żalosnych żywotów. Poszukuję życiowych rozbitków, starych, zaprawionych w bojach z losem wiarusów, włóczęgów, przegranych hazardzistów, smutnych eksmundurów. Ich przepełnione cierpieniem i beznadzieją historie to woda na młyn mojej wyobraźni.

W Somewhere in Time nigdy nie jest tłoczno. Nie przypominam sobie dnia, w którym klienci obsadziliby choć połowę stolików. Zazwyczaj przesiaduje tu kilka osób, z dala od siebie, odseparowanych od reszty świata kuflem piwa lub literatką czystej. Zdarza się jednak, że ktoś usiądzie przy barze i rozluźniony alkoholem zwierzy się Bobby'emu, albo dwie samotne dusze opuszczą swoje stoliki-warownie i siądą przy jednym większym, by obdzielić się nawzajem balastem doświadczeń i rozterek. Wtedy staram się być w pobliżu. Słucham, notuję. Niejeden tekst, który później sprzedałem, ma rodowód w barowych gawędach.

Tak było i tym razem.

– Wie pan, to nie jest tak, jak ludzie myślą. – Jej słowa brzmiały chropowato, niemal boleśnie. – Ludzie myślą, że z głodu umiera się w ciszy, a to nieprawda. Wie pan?

Zaskoczony poprawiłem się na krześle i podparłem łokciami brodę, nie mogąc się nadziwić, że kobieta, której miałem

wysłuchać, jest w stanie biologicznie istnieć. Wyglądała na znacznie starszą i bardziej zniszczoną niż mój dziewięćdziesięciosześcioletni dziadek w chwili śmierci. Zastanawiałem się, dlaczego chce ze mną rozmawiać. Byliśmy sami w lokalu, nie licząc Bobby'ego; siedziała zgarbiona przy ostatnim stoliku w rogu sali, opatulona w szary, wymięty płaszcz i chustę w wyblakłe kwiaty, spod której wysuwały się nieśmiało rzadkie kosmyki srebrzystych włosów. Prawdopodobnie bym jej w ogóle nie zauważył, gdyby wcześniej nie skinęła na czujnego barmana z niemą prośbą o uzupełnienie trunku, kiedy w najlepsze przekomarzaliśmy się z Bobbym na temat wyższości krągłej pupy Kylie Minogue nad kaczym zadkiem Madonny. Nie podjąłbym się też doręczenia pełnej szklanki do stolika tajemniczej staruszki, gdybym nie zauważył, jak Bobby zalewa szkło czystą wódką.

– To jej czwarta – szepnął i mrugnął do mnie. – Coś dla ciebie i twojej zdychającej weny.

– Przez ostatnie dwa tygodnie mój ojciec wrzeszczał bez przerwy – kontynuowała z nosem wbitym w szklankę. – Wrzeszczał tak długo, aż opadł z sił. Potem godzinami jęczał jak potępieniec albo wpadał w katatoniczny letarg. Wie pan?

Upiłem łyk piwa, mocno przejęty prawie zachłysnąłem się bąbelkami. Spojrzałem na jej ręce – kobieta musiała być bardzo wiekowa. Spod przybrudzonych mankietów płaszcza wystawały długie, kościste palce o ostrych i białych paznokciach, wierzch dłoni niemal całkowicie pożarły płamy wątrobowe. Przeniosłem wzrok na jej twarz, suchą i pomarszczoną jak pergamin, wargi przypominające uschnięte liście i oczy: czarne, głębokie, martwe jak otchłań hadesu. Zwilżyła usta końcem języka i mówiła dalej.

– A nas była piątka. Piątka dzieci od miesięcy na chlebie i wodzie. Matka prawie nie jadła i była tak słaba, że ledwie stała na nogach. A ojciec... – westchnęła, pociągnęła spory łyk. – A ojciec zwariował z głodu. Kiedy przychodził czas

nędnego posiłku, klękał między nami, wie pan, dziećmi, udając, że jest jednym z nas. Seplenił jak sześciolatek i prosił o kawałek chleba kobietę, której przysięgał być podporą. Szurał kolanami po zimnym betonie, cały czas zważał, by sprawiać wrażenie równego nam wzrostem. A potem umarł, wyłączył się, tak po prostu. Ale krzyczał do ostatniego tchu. Wie pan?

– Nie, nie miałem pojęcia – wydukałem pod nosem. Cóż mogłem odpowiedzieć? Jedyne post, którego w życiu doświadczyłem, to czterdzieści osiem godzin na wodzie i ziółkach po tym, jak strułem się nadmiarem gorzały i paskudnego żarcia z ulicznej budy z hot dogami. Umoczyłem usta w resztkach bursztynowego płynu na dnie kufla.

Staruszka patrzyła w przestrzeń, zawiesiła wzrok w próżni gdzieś za moimi plecami, a ja nie mogłem dojść do siebie. Skinąłem ręką na Bobby'ego, który walczył z olbrzymim magnetofonem, nie mogąc domknąć klapki z kasetą. Mieliliśmy połowę lat osiemdziesiątych, a on wciąż z uporem maniaka olewał płyty CD – ostatni krzyk melomańskiej mody. Twierdził, że cyfryzacja zabije muzykę. Za to go lubiłem.

Ze starych kolumn popłynęli Iron Maiden. Bobby puszczał ich na okrągło. Ponoć znali się z Bruce'em jeszcze za dzieciaka.

Wychyliłem kielicha, zapijając gorycz sosu tabasco potężnym tykiem piwa, kiedy staruszka podniosła głowę i podjęła monolog:

– Była cała sina, wie pan, moja Ada. Nie zauważyłam, kiedy umarła. Miała pięć miesięcy, a nas wieziono stłoczonych jak rzeźne zwierzęta w bydłowym wagonie. Mówili, że jedziemy do pracy. Niektórzy z więźniów twierdzili, że do gazu.

I wtedy przestałem ją słyszeć. Zacząłem widzieć wszystko, co relacjonowała. Najpierw wróciły obrazy gromadki skrajnie wychudzonych dzieci, które były świadkami głodowej śmierci własnych rodziców, potem wizja ich ciał, rozrywanych bagnietami przez żołnierzy w brudnych mundurach i z mnóstwem zegarków na obu rękach. Następnie knajpianą przestrzeń wypełniła duchota przepelnionego wagonu, widok odzianej

w łachmany matki, która tuli do piersi martwe niemowlę, potem były parterowe baraki, druty kolczaste, żywe trupy w pasiastych uniformach, olbrzymi dymiący komin. Nieludzkie wrzaski, płacz i słodkawy smród palonego mięsa.

– Dosyć! – krzyknąłem i na moment wróciłem do baru, do stolika, do spienionego kufła. Złapałem kobietę za kośćistą dłoń i powtórzyłem: – Dosyć! Proszę!

Ale ona nie zamierzała przestawać.

– I kiedy tak leżeliśmy w dusznym mroku, pośród rozwleczonych flaków i martwych towarzyszy broni, czekając na żółtą zarazę o skośnych oczach bez wyrazu...

Nie wiem, jak długo trwałem w objęciach piekła. Byłem żołnierzem na wszystkich możliwych frontach, ofiarą gwałtów i potwornych wynaturzeń, umierającym ze strachu dzieckiem i pograżonym w żałobie rodzicem, dusiłem się gazem w okopach Wielkiej Wojny, umierałem na chorobę popromienną i byłem świadkiem holocaustu, doświadczyłem obozów dla uchodźców, wojen gangów i heroinowej agonii. Byłem wszędzie i byłem każdym, tkwiąc w okowach niewyobrażalnego okrucieństwa. I zawsze pojawiał się ten zapach, woń ozonu wisząca w powietrzu.

– Proszę... – wyjęczałem w przestrzeń.

– Pan go dzisiaj wyczuł, prawda?

Otrząsnąłem się, jakbym wyszedł z lodowatej wody. Dłonie kurczowo zaciskałem na blacie stolika, gorączkowo chłonąc otaczającą mnie rzeczywistość. Od ceglanych ścian bił przyjazny żar, żółtawe światło lamp działało kojąco. Chwyciłem kufel z piwem i opróżniłem go duszkiem.

– Proszę już nic nie mówić – wyszeptałem błagalnie i podniosłem wzrok na staruszkę.

Jej twarz nadal była wręcz nieziemsko stara, jednak ostrość rysów złagodniała, bladość skóry zniknęła, a oczy nabrały żywego blasku.

– Pan go wyczuł? – Nie dawała za wygraną.

– Ale co? – Różnąłem głupa, choć dokładnie wiedziałem, o co jej chodzi.

– Zapach. Ten zapach, jak po burzy, mimo że żadnej nie było.

– Tak.

– Zawsze się pojawia, gdy ma zdarzyć się coś okropnego.

Wie pan?

– Nie rozumiem.

– Nie każdy go czuje, nie każdemu jest dane. Jak tylko pan wszedł do baru, wiedziałam, że nadszedł kres mojej misji.

– Jakiej misji, do cholery? – Ogarnęła mnie wściekłość. – Kim pani jest i dlaczego miesza mi w głowie?

– Jestem tamą, tamą powstrzymującą ocean szaleństwa.

– Jaką tamą? – Byłem gotów spieprzać z baru z prędkością światła. Ale nie mogłem ruszyć się z miejsca. – Pani bredzi!

– Czy chciałby pan kontynuować podróż po tym oceanie? Mam jeszcze mnóstwo historii...

– Nie, tylko nie to! – Umierałem ze strachu, za nic w świecie nie chciałem powtórki z rozrywki. – Czego pani ode mnie oczekuje?

– Trzeba wymawiać zaklęcie. Zaklęcie, które pan musi ubrać w słowa. Musi płynąć ono prosto z serca i zawierać w sobie esencję tego, co pan usłyszał.

– Jezu, ja nie chcę być żadną pieprzoną tamą! – odburknąłem nieco zbyt głośno. Chwilę później okazało się, że również bezskutecznie.

Stara kobieta osunęła się z krzesła. Zaraz potem Bobby dzwonił po pogotowie. Powinien był po karawan.

– To bardzo ciekawa historia, aż ciarki po plecach przechodzą – stwierdził Bobby, gdy godzinę później starałem się choć po części streścić moją rozmowę z osobliwą starowinką i podzielić emocjami, które mną targały. – Powinieneś to pisać!

– Wiem, że to wszystko bzdury, ale boję się. Naprawdę się boję, że coś może być na rzeczy.

– Zapach?

– Choćby zapach. I te wizje. To nie było normalne.

– To siadaj i pisz. Na świeżo, tak jak mnie to wszystko opowiedziałeś. Kawy?

– Kielicha!

Siedziałem na zapleczu knajpy i stukalem w wysłużone klawisze leciwego Underwooda, którego Bobby zdawał się trzymać wyłącznie dla mnie i wyłącznie na tego typu okazje. Być może dodałem trochę od siebie, być może przemilczałem kilka kwestii i być może brzmiało to o wiele bardziej literacko niż zwykła pijacka historyjka, wybełkotana w twarz pocziwego barmana.

Po dwóch godzinach, trzech kawach i czterech drinkach wręczyłem Bobby'emu kilka kartek maszynopisu. Z lubością obserwowałem, jak jego twarz to tężeje, to nabiera rumieńców, to blednie, by w końcu rozedrzeć się w grymasie zachwytu.

– To jest kurewsko dobre – powiedział. A potem dodał: – Mam pomysł. Jak nie masz nic przeciwko, wyślę to Bruce'owi. Chłopaki pracują nad nowym materiałem. Nigdy nie wiadomo, może ich coś zainspiruje. A nuż...

– ...będę miał swoje zakłęcie – dokończyłem.

– Z konkretnym rozmachem. Dawaj, jeszcze dziś poleci faksem.

– Masz faks?

– Stary, mamy lata osiemdziesiąte. Oczywiście, że tak.

Trzy miesiące później rozpromieniony Bobby przywitał mnie uśmiechem tak szerokim, że obawiałem się, czy jego twarz to wytrzyma. Wręczył mi odręcznie podpisanego winyla, z którego okładki wyczytałem tytuł płyty: *Somewhere in time*.

A potem zobaczyłem tytuły piosenek i tym razem to mojej twarzy groziło rozdarcie szczęściem.

Adrian Smith spisał się na medal. Tekst *Sea of madness* przyswoiłem sobie jeszcze tego samego wieczora.

Powtarzam go niczym modlitwę za każdym razem, gdy poczuję ten rozedrgany szaleństwem zapach ozonu. Zwłaszcza wtedy, gdy na burzę nawet się nie zanosi.

PRZYPROWADŹ CÓRKĘ NA RZEŹ

– Tatusiu, kim ty w ogóle jesteś?

Rzucone od niechcienia pytanie zawisło w powietrzu, elektryzując leniwą dotychczas atmosferę wtorkowego poranka. „Tatuś”, czyli Billy Quintero, zamarł w pół ruchu, z nożem uniesionym nad kawałkiem bekonu. Matka dziewczynki, Jane Duvall, również zastygła, tyle że z kubkiem kawy w dłoni. Sama Sandy z zacięciem grzebała w misce płatków owsianych, jakby oczekiwała, że pośród brejowatego posiłku wyłoni się ukryty skarb. Jasne, czerwcowe słońce skrzyło się w jej złotych lokach.

Zdarza się, że dzieciaki zadają drażliwe pytania. Pytanie zadane przez sześciolletnią Sandy należało do kategorii tych najbardziej drażliwych – przynajmniej pod dachem Jane Duvall i Billy’ego Quintero.

Mężczyzna odłożył nóż i obrócił się, wycierając ręce o szmatkę w przesadnie dokładny sposób. Z twarzy odpłynęły mu kolory, lecz Jane wiedziała, że za chwilę dojdzie do siebie.

– Jak to kim, kochanie? Twoim tatusiem, prawda? – odpowiedział ze swoim najszczęśliwym uśmiechem na twarzy. Prawie nie dało się dosłyszeć drżenia w jego głosie.

Sandy przyjęła wyjaśnienia ze zmarszczonym czołem. Po dłuższym zastanowieniu oburzyła się w przerysowanym, słodko-przemądrzałym tonie, jak to potrafią tylko małe dziewczynki:

– Nie chodzi o to, tatusiu!

Jane coraz mocniej zaciskała palce na kubku z kawą, dziwiąc się, jak swobodnie pada tego ranka słowo „tatusiu”. Czy wcześniej też krążyło tak lekko na linii Sandy–Billy?

Czy Jane mogłaby to przeoczyć? Nie, niemożliwe. Mogłaby zlekceważyć wiele innych rzeczy, ale nie taką drzazgę wbijaną w pamięć Paula, zmarłego ojca Sandy.

Ile ją ominęło? Jak bardzo Sandy była jeszcze jej i Paula, a jak bardzo już Billy'ego? Billy'ego, którego Jane kochała, to fakt, lecz również trochę się obawiała, szczególnie majowymi i czerwowymi wieczorami, kiedy wracał z pracy i wyglądał godzinami przez okno nieobecny wzrokiem? Billy'ego, którego pragnęła całym ciałem, a jednocześnie chciała trzymać na bezpieczny dystans od siebie, Sandy i przeszłości?

Gorący napój sparzył język i podniebienie kobiety. Skrzywiła się.

– Więc o co chodzi, skarbie? – dopytywał Billy, grając na czas i być może licząc, że mała zdąży znudzić się poruszonym tematem.

Sandy rzeczywiście wyglądała na znudzoną, w dodatku zaspaną, lecz ciekawość okazała się silniejsza.

– Bo pani w szkole pytała, kim są nasi rodzice! Kelly powiedziała, że jej tata pracuje w fabryce, a Bobbie, że jego tata to lekarz. Tata Freda jeździ autobusem, tata Susie sprzedaje w Wal-Marcie... – wyliczała. – Wszystkie dzieci wiedziały, kim są ich tatusiowie, tylko nie ja! – zakończyła głośniejszym, bliskim płaczu tonem. Pięty jej buczków uderzały równocześnie w nogi krzesła, wargi drżały.

Billy odrzucił ścierkę i w kilku krokach znalazł się przy pasierbicy.

– Sandy... – zaczął, obejmując kruche ramiona pociechy, jednak ta nie zamierzała dać mu tak łatwo dojść do głosu:

– Kim ty jesteś, tatusiu?! – krzyknęła.

Jane i Billy wymienili zaniepokojone spojrzenia nad złotowłosą głową sześciolatki.

Brian Morley był w swojej rodzinie kimś w rodzaju ducha. Praktycznie nikt nie zwracał na niego uwagi. Może rodzice uznali, że skoro udało im się wychować bezpiecznie pięcioro chłopców, to najmłodszy też sobie jakoś poradzi. A może byli po prostu za starzy na pilnowanie dzieciaka i znudzeni. Wypalenie to dość modne ostatnio słowo i zdaje się, że pasuje tutaj jak ulał.

Zatem dziewięcioletni Brian włóczył się, gdzie chciał, robił, co chciał i wracał do domu, kiedy chciał, nie słysząc z niczyich ust nawet słowa nagany. Puszczony samopas zasmakował już pierwszego papierosa, pierwszych zlewów whisky z butelki leżącej obok śpiącego lumpa i przejrzał gazetę dla dorosłych, chociaż na niektórych zdjęciach nie od razu udało mu się zorientować, które części ciała należą do faceta, które zaś do cycatej babki.

Tego późnego popołudnia Brian bawił się na rozlewisku rozciągającym się daleko za zamieszkanymi terenami Lewisburga. Mało kto odwiedzał te okolice, a chłopiec lubił samotność – po latach notorycznego bycia niezauważanym weszła mu w krew.

Słońce migotało w płytkiej wodzie, nad której powierzchnią krążyły chmary robactwa. Brian brodził na bosaka, czując pod podeszwami stóp zalane żdźbła trawy. Poruszał się powoli i uważnie. Nie chciał nadepnąć na twarde rzeczy w rodzaju kamieni czy gałęzi, ale przede wszystkim nie mógł sobie pozwolić na spłoszenie zwierzyny.

Bo po to właśnie tu przyszedł – zapolować.

Nie wiedział jeszcze, co zrobi ze schwytanymi żabami, kijankami, czy może nawet – Boże, oby tak! – jaszczurkami oraz pijawkami, ale czuł, że gdy nastanie odpowiedni moment, nie zabraknie mu inwencji twórczej. Chował pod łóżkiem kilka paczek zapalek i dezodorant. Nurtowało go również, co stanie się, jeśli zamknie w jednym słoiczku pijawkę i żabę. Wierzył, że taki eksperyment mógłby okazać się przełomowy dla ludzkości.

Problem w tym, że blask słońca przechodził nieubłaganie w czerwień, a do słoja Briana nie trafiła ani jedna pijawka. Owady bzycały i kąsały coraz dotkliwiej, znad wody zaczynały unosić się smugi pary, tymczasem na dnie szklanego naczynia spoczywały zaledwie dwie żaby... Niezbyt ruchliwe płazy zdawały się przyjmować niewolę ze stoickim spokojem – gapiły się tylko wytrzeszczonymi oczami i pełzały niemrawo.

Brian nie należał jednak do ludzi, którzy łatwo się zrażają i postanowił szukać kolejnych okazów, jak długo się da. Przykucnął nad obiecująco wyglądającą kępą trawy, gdzie dojrzał coś o podłużno-pijawkowym kształcie, kiedy usłyszał zza pleców mocny, głęboki głos:

– Biorą?

Podskoczył, wypuszczając słoń z dłoni i zwracając tym samym wolność schwytanym żabom. Cofnął się dwa kroki. Spomiędzy jego warg dobył się niekontrolowany jęk.

Nie spodziewał się tutaj żadnych ludzi, a już na pewno nie dorosłych. Najbardziej zaniepokoił go jednak fakt, w jaki sposób podszedł nieznajomy – Brian nie dosłyszał żadnego plusku ani skrzypięcia ubrania.

– Nie bój się, mały, wszystko w porządku.

Chłopiec nie potrafił dojrzeć zbyt dokładnie mężczyzny, bo tamten stał akurat w mocnym świetle zachodzącego słońca, ale spostrzegł kilka szczegółów. Facet również był na bosaka, sprawiał wrażenie dobrze umięśnionego i nosił na głowie czapkę baseballową.

Nieznajomy podszedł nonszalanckim krokiem i trącił stopą, podskakujący na płyciźnie niby boja, słoik. Zanim zdążył skomentować ten fakt, chłopak wypalił:

– To do szkoły! Na lekcje!

Mężczyzna kiwnął głową, jego twarz pozostawała w cieniu. Brianowi nie spodobało się, że dystans między nimi niebezpiecznie zmalał, lecz nogi odmówiły posłuszeństwa. Zastygł.

Intruz przerwał narastającą w malcu panikę, mówiąc:

– Te lekcje mają pewnie wiele wspólnego ze szczyrykiem i solą? Nawet gdyby zdążył, Brian nie wiedziałby, co odpowiedzieć. Facet dopadł go jednym susem.

Ostatnim, co zapamiętał, dusząc się pod cuchnącą chemikaliami ściereczką, była dłoń napastnika z wytatuowanymi na grzbietach palców symbolami karcianych kolorów...

Sąsiedzi uznali jednogłośnie, że Jane Duvall, wdowa po Paulu, przyjęła pod swój dach Billy'ego Quintero, bo nie starczało jej pieniędzy, żeby zapewnić byt sobie i Sandy, ponadto nie dawała rady typowo męskim zajęciom przy domu. Prawda przedstawiała się zgoła inaczej. Jane zarabiała w handlu nieruchomościami dość, by utrzymać siebie i córkę, a nawet odkładała co miesiąc sporo grosza. Inna sprawa, że nigdy nie czuła przesadnego pociągu do rzeczy materialnych. Jeżeli chodzi o przydomowe prace i drobne naprawy, to Jane radziła sobie ze wszystkim – nie bała się ani młotka, ani wiertarki.

Jedynym, czego Jane potrzebowała od Billy'ego, był jego fiut.

Nie potrafiłaby przyznać, czy kocha partnera, ale z roku na rok jej potrzeby seksualne rosły, a Billy umiał je zaspokoić jak nikt inny. Zawsze lubiła seks, odkąd zaś skończyła trzydziestkę, potrzebowała go kilka razy dziennie. Dziwnego głodu nie potrafiło ostudzić nawet wspomnienie o zmarłym mężu. Kiedy ciało brało górę, Jane usuwała Paula z umysłu. Czasami zastanawiała się, czy obserwuje jej poczynania z nieba, lecz starała się nie dopuszczać do siebie poczucia winy, zakładając, że przekona się o tym we właściwym czasie. Wiedziała, że wyrzuty sumienia potrafią zniszczyć człowieka do cna.

A przecież miała dla kogo żyć – oglądając kolejny sequel *Koszmaru z ulicy Wiązów*, siedziała na kanapie w pokoju znajdującym się dokładnie pod sypialnią, gdzie spała jej ukochana córeczka.

Dialogi aktorów zlewały się w uszach kobiety w bełkot. Wyświetlane na ekranie telewizora obrazy stanowiły tylko punkt zaczepienia dla uciekającego od ciemności wzroku. Dopiero dźwięk otwieranych drzwi wyrwał Jane z apatii.

W progu stanął Billy.

Nie przywitał się, nie odezwał nawet słowem. Bo niby i o czym mieliby rozmawiać? Jego oczy były puste, bo znowu musiał „pracować”. Z kolei oczy Jane mówiły wszystko i to wystarczyło.

Podszedł do kanapy, przewrócił partnerkę na bok – nie brutalnie, ale i niezbyt delikatnie. Upadła bez słowa sprzeciwu. Włożył dłoń pod jej udo, uniośł jedną nogę do góry. Rozerwał rajstopy silnym ruchem, spojrział. Nie miała pod spodem bielizny. Patrzył długo i dokładnie. Lubiła to. Poczwała, że wilgotnieje. Rozchyliła nogi jeszcze szerzej. Patrz, podziwiał.

Po dłuższej chwili zaczął uwalniać się ze spodni, rozpinając pasek drżącymi ze zniecierpliwienia dłońmi. Wyglądał, jakby ubranie go parzyło, a zaczerwienione policzki i krople potu na czole nadawały wiarygodności temu skojarzeniu.

Wsunął się w nią cały i przycisnął torsem. Odnalazł ucho Jane. Oblizwał wokół małżowiny, ugryzł. Później dyszał, pieprząc ją posuwistymi ruchami. Jęknęła raz i drugi, po czym zagryzła zęby na poduszce. Od twarzy Billy'ego biło ciepło jak od pieca, oddech mężczyzny zdawał się wlewać do jej mózgu przez kanał słuchowy niczym rozgrzany kisiel. Chciałaby otworzyć się bardziej, poczuć go głębiej, ale wsuwał się w nią już cały, więc jedyne co mogła, to napierać na niego mocniej i szybciej. Szybciej i mocniej. Łaskoczący oddech na szyi, rozgrzany kutas wjeżdżający i wyjeżdżający z jej wnętrza. Mocniej i szybciej. Szybciej i mocniej.

Umysł Jane wypełnił ten rytm. Wzlatywała w obszary, gdzie jest tak wysoko, że można tam tylko spłonąć lub zgłupieć...

Minęły wieki, zanim pojęła, że Billy nie tylko dyszy jej do ucha, ale również charczy pewne słowa. Rozpalona żądzą, z największym trudem skupiła się, by zrozumieć, o czym mówi.

– Pozwól jej... Przyprawdź... Pozwól... Przyprawdź...

Oderwała zęby od poduszki, jęcząc i chwytając łapczywie tlen, którego niedostatku nawet nie zarejestrowała.

– Co... O czym ty... – zdołała wydusić i na powrót zacisnęła zęby. Tym razem wdusiła w poduszkę całą twarz. Drapała paznokciami o bok kanapy, nie mogąc znaleźć punktu zaczepienia. Partner poruszał się w jej cipce coraz szybciej.

Myślała, że Billy nie odpowie, ale okazało się, że zbierał siły, by wyrzucić z siebie pełne, zrozumiałe zdanie:

– Przyprawdź córkę na rzeź – jęknął. – Pozwól jej... Sandy musi... Wiesz... Przyprawdź ją na rzeź!

Wykrzyknęła stłumione przez poduszkę „aaa!”, lecz nie z powodu słów Billy’ego, ale tego, co działo się między jej nogami.

Spłonie lub zgłupieje. Do reszty, do końca, na zawsze.

– Pozwól... Jej...

Wrzasnęła, że tak.

Wrzasnęła, bo w tej chwili zgodziłaby się na wszystko, o co poprosiłby Billy. Absolutnie wszystko.

Spełnienie dosięgło ich równocześnie.

Zamarli jak istoty, które od śmierci dzieli jedynie ułamek sekundy. Potem wszystko opadło. Żyli i oddychali. Myśli wracały.

Billy szepnął na ucho Jane po raz ostatni:

– Przyprawdź córkę na rzeź.

Zgodziła się, wkładając do ust i ssąc jego palec z wytatuowanym na grzbiecie karcianym znakiem kiera.

ŻELAZNE DZIEWICE

Z podziękowaniami dla Karola Kłosa i Ryszarda Sołkiewicza

Kobiety zwykle trzymają w przedpokoju lustra, w których przeglądają się przed wyjściem. U Norberta Duranda to zaszczytne miejsce zajmowała deska z haczykami. Wieszal na niej breloczki do kluczy. Pierwszy, przypominający wykonany z piórek łapacz snów, dostał od sąsiadki. Później dołączył do niego hełm legionów rzymskich, hiszpański byk, okutany w zbroję rycerz i wiele, wiele innych.

Po powrocie z supermarketu przesunął dłonią po kilku okazach kolekcji, a następnie, nie ściągając butów, poszedł do kuchni. Przełożył zakupy do lodówki i wypił trochę mineralnej wprost z butelki. Osuszył ją do końca, siedząc na kanapie. Powieki opadały mu jak przedszkolakowi, któremu pozwolono obejrzeć zbyt wiele bajek. Odłożył butelkę na podłogę, głowa sama odnalazła poduszkę.

Z drzemki wyrwały go dźwięki kościelnego dzwonu. Gdyby zostawił komórkę gdzieś w zasięgu ręki, pewnie wyłączyłby ją bez zastanowienia. Szukał jej jednak wystarczająco długo, żeby oprzytomnieć. Zerknął na wyświetlacz.

Dzwoniła Sara, jego dziewczyna.

- Cze... Cześć – przywitał się, powstrzymując ziewanie.
- Ciężka noc?
- Nie, po prostu mnie zmogło... Coś się stało?
- Coś... strasznego... – chlipnęła. – Włącz telewizor.
- Który program?

– Obojętnie.

Zrobił jak kazała i przez następny kwadrans nie był w stanie wymówić żadnego słowa, poza naprzemiennym wzywaniem imienia bożego i przedstawicielki najstarszej profesji świata.

Nic się nie zmienia na tym pieprzonym świecie! – pomyślał, patrząc na transmisję. – *Niczego się nie uczymy.*

Co chwila łapały go dreszcze, choć w mieszkaniu było ciepło jak w uchu. Wreszcie, gdy program przerwały reklamy, otarł wilgotne kąciki oczu, zastanawiając się, co ze sobą zrobić. Nie miał zbyt wielu opcji. Wszak nie dysponował mocami pozwalającymi na cofnięcie czasu.

Wstając, nadepnął na porzucony na podłodze statyw.

– Cholera, powinienem doprowadzić tę norę do porządku!
– zaklął.

Sara przy okazji ostatnich odwiedzin zaproponowała, że posprząta. Nie zgodził się, w obawie, że potraktuje to jako swego rodzaju deklarację. Obietnicę ślubu i gromadki małych, różowych bobasów.

Nagle telefon zawibrował pierwszymi, energetycznymi taktami *Can I Play With Madness* – wiadomy znak, że dobija się ktoś z redakcji. Odebrał.

– Witam – zagaił z nadzieją, że uprzejmością zasłuży na podobne traktowanie. Przeliczył się.

– Może byś tak, kurwa, ruszył dupę, co? – huknął naczelny.

– Mam ci wysłać specjalne zaproszenie?

– Jadę – rzucił i przerwał połączenie.

Napisał Sarze SMS-a, że wezwano go do redakcji i pognął na parking.

Aura nieszczęścia udzieliła się całemu miastu, spinając wszystko niewidzialną kłamrą. Nieliczni przechodnie, którym przyglądał się, kiedy przytrzymywały go światła, byli milczący niczym żałobnicy maszerujący w kondukcje. I to niezależnie od tego czy widział starych, młodych, mężczyzn czy kobiety. Zaciśnięte nerwowo usta, blade twarze, ukradkiem połykane łzy...

W niektórych oknach pojawiły się flagi, na cokole pomnika Marynarza mignęły ustawione ciasno jeden przy drugim znicze.

O sklepieniu czaszki obijało mu się nie tyle irytujące, co nieprawdopodobne przypuszczenie, że dzisiejsza tragedia faktycznie zjednoczyła ludzi. Że ból zdołał przebić się przez dzielące ich podziały i zadawnione animozje.

Do siedziby redakcji zajechał o kwadrans szybciej niż zwykle. Kolejny cud, choć pisany przez małe „ce”.

Wysiadając z Dżimiego, jak pieszczotliwie nazywał swojego suzuki jimny, z przyzwyczajenia włączył autoalarm. Z przyzwyczajenia, bo podskórnie czuł, że w taki dzień nawet złodzieje nie mieliby serca do skurwysyństwa.

Sama redakcja zajmowała jedynie połowę kamienicy, którą, w ramach podyktowanych kryzysem oszczędności, musiała dzielić z oddziałem banku. Na jego witrynie umieszczono plakat z udającą nastolatkę czterdziestoletnią aktorką. Zapatrzony w efekty Photoshopa w ostatniej chwili uskoczył przed pędzącą z naprzeciwka laską pchającą wózek z zagnieżdżonym w środku malcem.

Młoda, a już ślepa – pomyślał ze złością. Wciąż zgrzytając zębami otworzył drzwi i – najwyraźniej prawem serii – nieomal zderzył się ze spieszącą gdzieś Emilią. Jedną z nielicznych zatrudnionych tu dziewczyn, wobec których żywił odrobinę sympatii. Wcale nie dlatego, że miała słodką buzię cherubina, okoloną kręconymi blond lokami i miłe dla oka kształty, których nie starała się nadmiernie maskować. Nie kupiła go też gestami sympatii, takimi jak zaparczenie kawy czy poczęstowanie pączkiem. Znacznie ważniejsze było to, że pod całą tą mega optymistyczną powierzchownością kryła się jakaś zadra, sugerująca, że Emilia przeżyła zbyt dużo, żeby pozostać plastikową lalą, których tyle kręci się wokół.

Dziewczyna obrzuciła go spłoszonym spojrzeniem i pomknęła dalej.

Zanim dotarł na piętro, zdążył rozpiąć zamek kurtki, ściągnąć pilotkę i w duchu przygotować się do przeprawy z Mullerem.

Do czego zresztą nie doszło, bo jakimś tajemniczym sposobem nastrój rednacza zmienił się o sto osiemdziesiąt stopni.

Typowe dla psychopatów – skwitował w duchu Norbert. – *Co nie znaczy, że nie przyjebie mi przy najbliższej okazji.*

– Dobrze, że jesteś! – Pan Do Rany Przyłóż wyciągnął rękę na powitanie i mocno uściśnął dłoń dziennikarza. – Łap dyktafon i leć na miasto! Nagraj, ile się da. Czym więcej rozpaczy, tym lepiej!

Durand nie protestował. Wolałby zająć się czymś ambitniejszym, ale nie chciał podpadać naczelnemu. Choć głównym źródłem jego dochodów było publikowanie pod pseudonimem felietonów z cyklu „Samczym okiem”, nie mógł pozwolić sobie na stratę etatu.

Nie w dobie kryzysu.

Poklepał przyczepioną do podszybia naklejkę z napisem: WAL ATOMEM W WIELORYBY!, po czym odpalił silnik. Wskaźnik paliwa zbliżał się do zera, więc postanowił skrócić na stację. Co prawda spokojnie mógłby przejechać jeszcze z pięćdziesiąt kilometrów, jednak irracjonalna obawa, że dostanie pilne zlecenie gdzieś daleko, przeważała. Dobrze znał siebie: jeśli nie zaleje baku po korek, po prostu nie zaśnie.

Kilka minut później stanął w kolejce do kasy. Niestety, za przemądrzałym debilem, który deliberował nad płynem do spryskiwacza, grymasząc, że można go kupić wyłącznie w jedno-, dwu- lub pięciolitrowych pojemnikach.

– Czemu nie ma trzylitrowych? Trójka to jakaś gorsza liczba? – wypytywał sprzedawczynię z miną sugerującą, że oto trafił na trop międzynarodowego spisku.

Duranda świerzbiła ręką, żeby palnąć gościa w łeb. Na szczęście paranoik w końcu wyczerpał zapas podejrzeń, wybrał pojemnik pięciolitrowy i zmył się.

– Niekorzystny biometr. – Norbert mrugnął porozumiewawczo do ekspedientki, niczego sobie rudzielca z gustownie upiętą fryzurą.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi. Zauważył, że ma pomalowane na czarno paznokcie, co w ubiegłym wieku sugerowało mroczne wnętrze, a obecnie świadczyło dokładnie o niczym.

– Gdyby to ode mnie zależało, Matyldo, ci którzy użerają się z takimi zjebami, dostawaliby dodatek zdrowotny.

Poprawiła opadający na policzek kosmyk włosów i kiwnęła głową w niemym potwierdzeniu.

Wstukał PIN, zatwierdzając płatność i schował kartę do portfela. Korzystając z tego, że poza nim w pobliżu nie było innych klientów, pokazał kasjerce legitymację dziennikarską.

– Czy zechciałabyś opowiedzieć o swoich odczuciach w związku z katastrofą?

Westchnęła.

– Teraz nie mogę, bo szef... Poczekaj – dodała, widząc jego zawiedzioną minę. Napisała coś na reklamówce paliwa, po czym podała ją Norbertowi. – To moja komórka. Kończę o dwudziestej.

– Dziękuję, na pewno zadzwonię. – Zrobił w tył zwrot i ruszył do wyjścia. Halo? Tu Norbert Durand, pogotowie seksualne dla niewyżytych panien. Szlag by trafił!

Chłód wieczoru trochę go uspokoił. Gdzieś ze wschodu nadciągały chmury, zasnuwając niebo czernią. *Zbiera się na burzę* – pomyślał. Ta dziewczyna, Matylda, wywołała w nim odległe skojarzenie czegoś, co powinien szybko sobie przypomnieć, inaczej będzie się męczył jak na spektaklu w operze.

Matylda... Matylda?

No jasne! W *Leonie zawodowcu* jej imienniczka za wszelką cenę chciała nauczyć się strzelać... On też miał pistolet. W zasadzie nawet dwa.

Odpuść – upomniał samego siebie, pstrykając palcami dla odczynienia uroku. – *Masz Sarę. Na chuj ci inne?*

No właśnie. Na chuj.

Minął kręcącego się przy dystrybutorze zniedołężniałego hipstera i wszedł do auta. Zdecydowanym ruchem szarpnął pasy, wpiął klamrę w zatrzask, a następnie wyjechał ze stacji. Ulice były opustoszałe, najwyraźniej wszyscy siedzieli przed telewizorami albo na Internecie. Gdzie by tu kogoś dopaść? Na osiedlu? Czemu nie.

Obie strony osiedlowej drogi zastawiono samochodami tak szczelnie, że jechał żółtym tempem. Inna sprawa, że nigdzie mu się nie spieszyło. Żeby nie spłoszyć zwierzyny, trzeba podchodzić do niej ostrożnie, z wyczuciem.

Okrażył miniaturowe rondo, parkując w taki sposób, by w razie czego bezproblemowo się ewakuować. Stary nawyk, który niejednokrotnie uratował mu dupę. Sprawdził czy dyktafon działa, i ruszył na łowy. Zmrużył oczy, rozglądając się czujnie, jednak nigdzie nie dostrzegł ani żywej duszy. Podszedł do zadaszonoego śmietnika, szarpnięciem otworzył drzwi z siatki i zajrzał do środka, płosząc bezpańskiego kota.

Gdzie podzieli się wszyscy bezdomni? Kosmici ich porwali?

Przespacerował się po wymarłej okolicy i zniechęcony wrócił do Dżimiego. Miał ochotę zakurzyć, po raz pierwszy od dawna. Zamiast tego pogrzebał w kieszeni za pestkami słonecznika. Rozgryzał właśnie trzecią, gdy zza zakrętu wypadła beemka z przyciemnionymi szybami. Tuż za nią, praktycznie zderzak w zderzak, gnało granatowe mondeo, a za nim jaskrawozielony chrysler. Beemka zatrzymała się z piskiem palonych gum, wyskoczył z niej barczysty brzydał i pognał do najbliższego bloku.

Ucieczka nie została uwieńczona sukcesem, bo z mondeo i chryslera wypadła ekipa bandziorów, którzy najwyraźniej mieli rakietnice w tyłkach. Albo amfę w krwioobieg. Dorwali gościa tuż przed klatką schodową i zaciągnęli z powrotem do beemki. Norbert mógł się tylko domyślać, co się tam dzieje; góropodobne sylwetki kafarów zasłaniały widok, on zaś za bardzo cenił sobie życie, żeby się ujawniać.

Po minucie czy dwóch brygada pościgowa rozbiegła się do samochodów. Wkrótce jedynym śladem, jaki po nich został, był szybko rozplywający się w powietrzu obłoczek spalin. No i beemka, której właściciel już nigdzie się nie wybierał.

Durand wyjął z torby aparat fotograficzny i znów wygramolił się z auta. Wyglądało na to, że dziś nie miał szczęścia do nagrywania zwierzeń zrozpaczonych obywateli. W każdym razie brzydał raczej nic mu nie powie.

Silnik beemki wciąż pracował na wolnych obrotach, jak gdyby kierowca chciał się ogrzać. Jeden rzut oka do wnętrza wozu wystarczył, by upewnić się o daremności podobnych prób. W ruch poszły bowiem nie kije bejsbolowe, lecz coraz popularniejsze maczety. Za ich sprawą facet zmienił się w hańdę świeżego tataru. Na jego wykrzywionym w bolesnym grymasie obliczu, które zrzędzeniem losu uniknęło spotkania z którymkolwiek z ostrzy, zasychał wzór z czerwonych kropek i rozbryzgów.

– Nikt mi nie wmówi, że jogging jest zdrowy – westchnął Norbert, pstrykając pierwsze zdjęcie.

REINKARNACJA BENJAMINA BREEGA

Istnieje wiele teorii na temat tego, co dzieje się z człowiekiem po śmierci. Większość ludzi wierzy w takie lub inne życie pozagrobowe – wyobrażenia są różne, ale na ogół dość przyjemne. Całkiem sporo ludzi wyśmiewa z kolei tych pierwszych, twierdząc, że najlepsze, co może czekać człowieka po śmierci, to bycie zjedzonym przez robaki.

Poza tym są jeszcze łysi pomarszczeni staruszkowie okutani w pomarańczowe prześcieradła, którzy większość czasu spędzają na siedzeniu w bezruchu i mamrotaniu pod nosem. Niektórzy mówią, że mamrotanie służy tylko temu, by mnisi nie zostali omyłkowo uznani za zmarłych. W każdym razie staruszkowie wierzą, że ciało jest tylko etapem przejściowym, toteż dusza, gdy zmęczy się już artretyzmem, częstymi wizytami w toalecie i lukami w pamięci, opuszcza dotychczasowego nosiciela i znajduje sobie nowego. Zazwyczaj różowego, wrzeszczącego i zasmarkanego, co na dobrą sprawę wcale nie poprawia sytuacji.

Benjamin Breeg właśnie się przebudził i pierwszą rzeczą, jaką zauważył, było to, że strasznie mu niewygodnie. I nie miało to nic wspólnego z twardą deską, na której leżał. Było mu niewygodnie tak jakby w samym sobie, we własnym ciele. Ostatnią rzeczą, którą pamiętał, była grupka ubranych na czarno i szlochających krewnych zebranych wokół jego łoża. Aż do tej pory był święcie przekonany, że nie żyje, co zresztą Breegowi w zupełności odpowiadało.

Wyglądało jednak na to, że żył, co trochę zepsuło mu nastrój. Słyszał o tej całej reinkarnacji, ale uważał ją za całkowitą głupotę.

Po długim i męczącym życiu każdemu należy się porządny odpoczynek – perspektywa elizejskich pól wydawała się dużo bardziej kusząca, niż przeżywanie wszystkiego znowu od początku.

Wprawdzie istniała groźba otchłani piekielnych, a on nie był może kryształem, ale liczył, że jakoś umknie przed wiecznym ogniem oraz kotłami z wrzącą smołą i wśliźnie się na rajskie polany, gdzie mógłby w końcu trochę odsapnąć.

Nic z tego. Tymczasowo nawet perspektywa otchłani potępienia musiała zejść na dalszy plan. Wszystko wskazywało na to, że zasada wieczystej wędrówki dusz postanowiła sprawić Benjaminowi psikusa i wysłać duszę z powrotem do poprzedniego ciała. Pewien problem stanowił fakt, że od kilku dni spoczywało ono w grobie.

To mu się spodobało jeszcze mniej. Nie po to męczył się z całym tym umieraniem, żeby teraz kontynuować żywot w drewnianej skrzyni zamkniętej w zimnej krypcie, za towarzyszy mając pająki i kilka zmurszałych kościotrupów w sąsiednich trumnach.

Westchnął ciężko. W jego klatce piersiowej coś chrupnęło. Jakby stary, zasuszony skórzany worek. Po chwili zastanowienia Benjamin uświadomił sobie, że westchnięciu towarzyszył pierwszy oddech, od kiedy się obudził. Spróbował wsłuchać się w bicie własnego serca, lecz ten zamiar również spełził na niczym.

Nagle uzmysłowił sobie, że jako trup może tak leżeć bez wody oraz pożywienia przez całą wieczność. Na tyle, na ile mógł, uniośł ręce i naparł na wieko trumny. Zatrzeszczało, ale na tym skończyła się chęć współpracy. Gwoździe trzymały uparcie, jakby od tego zależało ich być albo nie być. Benjamin jęknął. Przez moment zamierzał rozhuścić trumnę, ale zastanowił się, czy aby warto ten ciasny, pośmiertny świat wywracać do góry dnem i doszedł do wniosku, że nie ma co pogarszać sytuacji.

– Ciekawe czy z nudów można rzeczywiście umrzeć – mruknął do trumiennego wieka. – Zwłaszcza, jak już się nie żyje.

Wiek nie miało zdania w tej sprawie.

Benjamin leżał. Bo co innego można robić w trumnie? Nie da się nawet mierzyć upływającego czasu. Miał wprawdzie zegarek, jednak ciemności wykluczały wszelki z niego pożytek. Próbował nawet liczyć sekundowe tyknięcia, ale po pięciu minutach dał sobie spokój. Nuda stawała się coraz bardziej uporczywa, jednak wciąż daleko jej było do śmiertelności.

Nagle coś szarpnęło trumną. Milczące dotychczas serce Benjamina wskoczyło od razu na najwyższe obroty, choć jedynie z przyzwyczajenia.

Coś głucho uderzyło o wieko.

– To jakiś dziany gość był. – Z zewnątrz dał się słyszeć zduszony, niski głos. – Na pewno dali mu zegarek. A może nawet sygnet.

Szczerbaty Claude i Kulawy Moe nie mieli zbyt wiele doświadczenia jako hieny cmentarne. Zostali nimi raczej z przypadku. Przypadek bowiem sprawił, że dowiedzieli się o pochówku Benjamina Breega, człowieka znanego, szanowanego, a co za tym idzie – zamożnego. Niczym innym, jak również przypadkiem, znaleźli się na cmentarzu w nocy, zaś faktu, iż akurat mieli ze sobą łom, a kłódka na drzwiach grobowca rodzowego Breegów była wyjątkowo słaba, nie da się wyjaśnić inaczej, jak tylko kolejnym uśmiechem losu.

Szczerbaty Claude stęknął, napierając na łom. Po chwili siłowania się wieko ustąpiło z przeraźliwym skrzypnięciem wyłazających z drewna gwoździ.

– No, nareszcie – zabrzmiał głos.

– Mówiłeś coś? – Claude mruknął do Kulawego Moe, jednak pytanie nie znalazło adresata. Kulawy Moe był już w połowie drogi do cmentarnej bramy i nabierał prędkości na ogół niespotykanej wśród ludzi o drewnianej nodze.

– Myślałem, że umrę tu z nudów. Ale jakoś mi nie wychodziło.

Claude poczuł, jak serce zamiera mu w piersi. Powoli odwrócił głowę i spojrział na nieboszczyka, który... Właśnie wstawał z trumny! Claude usłyszał wrzask. Najpierw dobiegał on z oddali, potem przybliżał się coraz bardziej, aż w końcu niedoszły łupieżca grobowy uświadomił sobie, że wrzask dobiega z jego własnego gardła. Powydzierał się jeszcze trochę, nim mózg odnalazł odpowiedni impuls i kazał nogom brać się za pas.

– Bardzo dziękuję! – zawołał Benjamin za zwiewającym w popłochu mężczyzną. Wyrazy wdzięczności zostały całkowicie zlekceważone. – No, nic. Czas się zbierać – mruknął pod nosem, gramoląc się z trumny.

Pchnął drzwi grobowca. Wierzeje uchyliły się z takim samym dźwiękiem, z jakim otwierają się wszystkie metalowe odrzwia na świecie. Na zewnątrz panowała noc, czego właściwie można się było spodziewać po odwiedzinach hien cmentarnych. Jednak noce bywają przecież różne. Ta była dokładnie taka, jaka powinna towarzyszyć powstającym z grobów truposzom – zimna, bezksiężycowa i sugerująca, że poskręcane drzewa mogą wieść drugie, demoniczne życie. Benjaminowi z całą pewnością nie poprawiała nastroju. Ubrany w swój najlepszy surdut, przyozdobiony gustownie warstwą pajęczyn i grobowego pyłu, wyszedł na ulicę.

Wyciągał już zmartwiałą dłoń, by wezwać jedną ze stojących nieopodal dorożek, ale po pobieżnych oględzinach stanu finansowego kieszeni uświadomił sobie, że jego krewni nie przewidywali, by miał jakieś wydatki w życiu pozagrobowym. Starożytni Egipcjanie odznaczyli się w tej materii większym pragmatyzmem, gdy zmarłych faraonów zaopatrywali w niewyobrażalne bogactwa. Chociaż perspektywa usuwania mózgu przez nos za pomocą rurki nie była już tak kusząca.

Po przygnębiającej, bezksiężycowej nocy budził się przygnębiający, mglisty dzień. Mdłe światło nie do końca zdecydowanego poranka nie poprawiało sytuacji. Ponurość wciąż niepodzielnie panowała nad światem, a teraz na dodatek wszystko było widać.

Benjamin Breeg po mało urokliwym spacerze dotarł wreszcie do domu. Patrząc z nowej perspektywy, stwierdził, że rezydencja w stylu poe'owsko-lovecraftiańskim nie była najmądrzejszym z pomysłów jego przodków. Chociaż oni pewnie jeszcze nie słyszeli o opowieściach grozy i umarlakach wstających z grobów, toteż nie można ich winić.

Furtka uchyliła się z identycznym skrzypnięciem jak drzwi grobowca. Breeg wspiął się po kamiennych stopniach i sięgnął po kołatkę. Metalowy pierścień umieszczony w dziobie wyjątkowo szpetnego gargulca uderzył głucho o drzwi. Drzwi otworzyły się nieśmiało i – o dziwo – bez skrzypienia.

– Pan Benjamin? – W szparze pojawiła się zszokowana twarz kamerdynera.

– Zgadza się, Chives. – Breeg spróbował uśmiechnąć się przyjaźnie do służącego, jednak twarz nie bardzo chciała słuchać podobnych rozkazów.

– Ale, przecież pan... – jękał się Chives.

– Nie żyję? Do niedawna też mi się tak wydawało. Mógłbyś mnie łaskawie wpuścić do mojego domu?

Chives przez chwilę stał z rozdziawioną paszczą, lecz w końcu posłusznie otworzył drzwi i dał przejście. Był służącym starej szkoły i wyznawał zasadę, iż pana należy słuchać niezależnie od okoliczności. Nawet jeśli chwilowo jest on trupem, który dopiero co dał nogę z rodzinnego grobowca. Arystokracja miewała różnorakie zachcianki.

– Ale przecież został pan pochowany... – Pozwolił sobie na uwagę Chives. Ramy zasad starej szkoły kamerdynerów zatrzeszczały ostrzegawczo.

– Zauważyłem, Chives. Lepiej trumny nie dało się chyba zamknąć, co?

– Dobrze się pan czuje? – Chorobliwie blada z natury skóra kamerdynera odkrywała właśnie zupełnie nowe kategorie bladości. – Bo wygląda pan koszmarnie, jeśli wolno mi zauważyć.

– Właściwie to nie. Czuję się oszukany. Może i jestem staroświecki, ale uważam, że jeśli ktoś umarł, to powinien być martwy.

Breg powłóczęc nogami przeszedł przez salon. Zasiadł w swoim starym fotelu – obecnie przykrytym prześcierałem i najwyraźniej przygotowanym do wywiezienia. Chives tymczasem wyglądał jak chodząca ilustracja z encyklopedii medycznej przy haśle „atak serca”.

– M-może z-z-zawezwę medyka? – wyjąkał.

– Zawezwij, Chives.

Chives miał osiemdziesiąt pięć lat, koszmarny artretyzm i tak szybko jak teraz, gdy pędził przez ogródek, nie biegł prawdopodobnie od dobrych czterdziestu lat.

Breg spróbował wyciągnąć się wygodnie w fotelu, jednak nic z tego nie wyszło. Fotel mógł być nawet najwygodniejszy na świecie, ale ciało wciąż uwierało jak stare, rozeschnięte trzewiki.

Benjamin wierząc się nieustannie, pomyślał, że powinien chyba wysłać jakieś podziękowanie hienom cementarnym, które uwolniły go z funeralnego więzienia. Chociaż z drugiej strony chciały go przecież ograbić, więc można uznać, że byli kwita.

– Oddychać.

Benjamin posłusznie nabrał powietrza, jednak bez większej przyjemności. Stał z rozpiętą koszulą, a do jego piersi przytknięta była zimna, mosiężna tuba z kauczukowym przewodem kończącym się w uchu doktora Murraya.

– Nie oddychać – zakomenderował medyk. Breg posłusznie wypuścił powietrze z płuc i bez żalu przestał oddychać.

Medyk wyjął z ucha końcówkę przewodu.

– Interesujący przypadek – mruknął pod nosem. – Nie ma pan przypadkiem ochoty na ludzkie mięso? Na mózg na przykład? Albo krew. Nie napiłby się pan świeżej krwi?

– Hmm... – Benjamin zastanowił się. – Nie. Raczej nie. Właściwie w ogóle nie odczuwam ani głodu, ani pragnienia. A dlaczego pan pyta?

– Cóż, mam dla pana niezbyt dobre wieści – oznajmił lekarz, chowając przybory do torby. – Cierpi pan na ostry przypadek *mortus popolitus*.

– Na co?

– Och, to dość powszechna przypadłość. Jest pan trupem.

– Zgadza się. – Benjamin smętnie pokiwał głową. – Od jakiegoś tygodnia. Zostałem nawet pochowany.

– Bardzo panu współczuję. – Lekarz wypisał jakiś dokument, podpisał zamasztył gestem i wręczył Benjaminowi.

– Co to? Recepta?

– Akt zgonu. – Doktor Murray wstał i założył kapelusz.

– I to wszystko? Nie pomoże mi pan? Przecież jest pan lekarzem! Co z przysięgą tego, jak mu tam...?

– Obawiam się, że pańska przypadłość jest nieuleczalna. A co do przysięgi Hipokratesa, to cóż, panu chyba nie da się już bardziej zaszkodzić. Medycyna w pańskim przypadku rozkłada ręce. Ale myślę, że to mogłoby pomóc.

Medyk wyciągnął z torby gazetę i podsunął Benjaminowi dział anonsów.

– „Młoda, wcale zamożna wdowa zapozna ekstrordynaryjnego dżentelmena...”? Wie pan, obawiam się, że w tych sprawach...

– Nie, nie – przerwał Murray. – Tu niżej.

– Hm... – mruknął Breeg, śledząc wskazane ogłoszenie.

– „Egzorcysta” pisze się chyba nieco inaczej...

– Ja tam nie wiem – powiedział medyk, kładąc dłoń na kłamce. – W każdym razie życzę milego dnia.

Benjamin stał jeszcze chwilę, intensywnie studiując ogłoszenie. Wreszcie zawołał:

– Chives! Pozwól na momencik.

IMPERIUM CHMUR

Tym dziwnym cieniem, od parunastu już dni przemykającym ciemnymi zaułkami między podległymi Ministerstwu Lotnictwa biurami projektowymi na północnym skraju bazy w Cardington, a klaustrofobicznym mieszkankiem w kamienicze w centrum Bedford, był inżynier Richard Hawkins. W ledwo dopiętej, skórzanej torbie, oburącz przyciskanej do piersi, targał powierzony mu projekt, mimo wiszącego nad głową terminu wciąż nieskończony.

Do niedawna całkiem zadzierzysty Hawkins, ostatnimi czasy zmienił się w cień samego siebie, dość rzec, że w przeciągu trzech ostatnich dni stracił na wadze dobre siedem funtów. Żona, późną nocą odgrzewając resztki przegapionych obiadów, przestała mu już nawet czynić jakiegokolwiek wyrzuty, ograniczając swe uwagi jedynie do krótkich westchnień. Zmęczonym spojrzeniem lustrowała go – gdy łyżka za łyżką powoli pochłaniał zupę – od rzednących, lekko kręconych włosów, przez ziemistą cerę z coraz wyraźniejszymi sińcami wokół oczu, wiszącą, wytartą marynarkę i niepasujące do niej kolorem spodnie, skarpetki z dwu różnych par, po rozpadające się buty. Czarne, ale ostatnio zbierające plamki błota w najróżniejszych odcieniach brązu.

– Nie możesz się tak zamęczać – powiedziała mu parę razy, gdy ta nieszczęsna historia się zaczęła. – Może ktoś ci z tym pomoże? To nie jest robota dla jednego człowieka.

– Dam radę, jestem już blisko – zbywał ją. – Jeszcze parę dni, zgarnę premię i pójdziemy kupić ci nowy płaszcz, wiesz, ten który tak ci się podobał w tamtym sklepie...

– I nowe buty – odparła raz, na chwilę rozpromieniając twarz męża uśmiechem.

– I nowe buty – obiecał.

Taki stan Richardowi Hawkinsowi zdarzył się już dwu- czy trzykrotnie, nigdy jednak aż z taką siłą. Z biura wychodził ostatni, to jedyne światło w spowitej poza tym w mroku późnego wieczora czterokondygnacyjnej bryle biurowca w bazie w Cardington gasło niewiele przed północą i ponownie zapalało jeszcze przed świtem, gdy napędzany adrenaliną i kofeiną inżynier w panice wbiegał do pracy tuż przed piątą, wnosząc z powrotem pospiesznie poprawione w domu dokumenty i projekty.

Problemem, który tak go zaprzętał, a przy tym przedmiotem intensywnych nacisków z samej góry, z poziomu Ministerstwa, było opracowanie śmigieł o zmiennej geometrii łopat, zdolnych zapewnić wystarczający ciąg wsteczny dla najnowszego, utajonego jeszcze projektu, którego wszystkie szczegóły znało w całym kraju może kilkanaście osób. Ze strzępków informacji uzyskanych od kolegów w innych działach Hawkins wiedział przynajmniej o kilku projektach prowadzonych równolegle, najwyraźniej w tym samym celu. Ktoś szukał najodpowiedniejszych, możliwie lekkich i mocnych silników, inni eksperymentowali ze sposobami zapewnienia energii elektrycznej na długi lot, a jeszcze inni na modelach badali wytrzymałość i ciężar różnych struktur szkieletu sterowca.

W tamtym momencie, na przełomie lata i jesieni 1925 roku, inżynier Hawkins mógł się jedynie domyślać ogromu całego przedsięwzięcia.

Kilkukrotnie zbierał się w sobie, by odbyć z przełożonym, podpułkownikiem Vincentem Cranem Richmondem, tę trudną rozmowę, ale zawsze tchórzył w ostatniej chwili, do granic cierpliwości przeciągając termin rozliczenia się z przydzielonej mu części projektu. Będąc człowiekiem nadzwyczaj skrupulatnym, dokumentował jednak każdy swój pomysł, każdy szkic, każdą próbę i każdy model.

Wczesnym rankiem któregoś z wrześnieowych dni zdobył się wreszcie na odwagę. Przemykając zaułkami do biura projektowego, ślizgał się na mokrych liściach, nadzwyczaj wczesnie opadłych. Przepelniona dotychczas torba zawierała jedynie wiązaną teczkę z kilkudziesięciostronicowym raportem. Wbrew swej naturze przed wyjściem z domu wygrzebał z dna szafy zachowaną przez żonę na czarną godzinę butelkę szkockiej. Odkorkował ją i, polawszy do niedużej szklanki, wypił duszkiem, krzywiąc się mocno. Gdy w oddali zamajaczyła już bryła biurowca, alkohol uderzył mu do głowy, dodając nieco odwagi.

Pięćdziesięcioletnia sekretarka w ciasno związanym koku nie zaszczyciła go nawet spojrzeniem, pochłonięta treścią jakiegoś papieru leżącego na szczycie środkowej z trzech stert, wysokości około łokcia każda, ułożonych na ciężkim dębowym biurku pieczołowicie, pod linijkę, by od wejścia można było odczytać czarne litery na złotej blaszce układające się w napis „Gloria Jennings”. Lekceważącym gestem wskazała inżynierowi drzwi po jej lewej stronie, nakazując mu wejście.

– Dziękuję. Piękny dziś dzień, prawda? – szepnął, mijając biurko i kierując się ku wskazanym drzwiom.

Był prawie pewien, że odpowiedziała mu prychnięciem, całkiem życzliwym w tonie, ale ciągle prychnięciem. Odetchnął głęboko dwa razy, zapukał, odliczył do czterech i zdecydowanie wszedł do środka.

Tabliczka na mahoniowym biurku zgadzała się z tą wiszącą przy drzwiach, że osobą rezydującą w tym biurze winien być podpułkownik Vincent Crane Richmond, kierownik techniczny projektu.

Zobitego wytartą skórą fotela powstał tymczasem niewysoki, czerstwy mężczyzna w randze porucznika, wyraźnie niebędący Vincentem Cranem Richmondem – Hawkins widział go po raz pierwszy – który sprężystym krokiem okrążył biurko i stanawszy przy zdębiałym inżynierze, bez słowa odebrał od niego teczkę z raportem. Bez zaglądnania do środka położył ją na szczycie całkiem sporej sterty podobnych.

– Dziękuję. Możecie odmaszerować.

– Czy mogę...? – spytał nieśmiało inżynier.

– Tak?

– Gdyby trzeba było coś wyjaśnić, gdyby pan porucznik czegoś... potrzebował, mogę zawsze, choćby teraz...

– Wyjaśnić? Chyba nie będzie potrzeby. – Porucznik rzucił okiem na teczkę, około trzy razy grubszą od tych już leżących na biurku. – Z waszym raportem zapozna się teraz kierownictwo projektu, powiedziano mi, że jesteście bardzo skrupulatni, więc chyba nie będzie potrzeby was fatygować dla dalszych wyjaśnień.

– To znaczy...

– To znaczy dziękuję, odmaszerować. Myślę, że zasłużyliście na dzień albo dwa wolnego. Proszę pomówić z sekretarką.

Richard zamknął za sobą drzwi z bardzo ambiwalentnymi uczuciami. Z jednej strony wszystko poszło dobrze, nawet został pochwalony i dostał wolne. Z drugiej strony zastanawiał się, kim był ten cały porucznik i co robił w biurze Richmonda. I gdzie podział się Richmond?

Faza projektowa przeciągnęła się o niemal dwa lata, względem początkowo założonych terminów, w dużej mierze ze względu na konieczność poszukiwania rozwiązań technicznych możliwych do wdrożenia przy ówczesnym stanie techniki, alternatywnych do tych zaproponowanych na początku, a których opracowanie nie powiodło się, czy to przekraczając bez wymiernych rezultatów założony budżet, granice cierpliwości ministra czy też zwyczajnie okazując się nie dość wytrzymałymi.

Niezwykły rozmach projektu w niektórych kwestiach okazał się nieosiągalny, toteż zdecydowano się postawić na kilka rozwiązań kompromisowych, realizowalnych technologicznie, ograniczając koszty, ale i zaawansowanie konstrukcji, znacznie przekraczając zakładaną początkowo masę okrętu, co znowu przełożyło się na kolejne miesiące opóźnień.

Vincent Crane Richmond dorobił się w tym czasie kilku siwych włosów i przez nadmierne zaangażowanie w projekt poważnie nadwyrężył zaufanie i cierpliwość swojej ukochanej małżonki. Do tego stopnia, że gdy wreszcie w hangarze w Cardington ruszyły prace konstrukcyjne, on sam udał się na kilkutygodniowe wakacje w towarzystwie żony, podobno na Krete.

Obszerna dokumentacja projektowa podzielona została na kilka części; do konstruktorów sterowca trafił jedynie kilkusetstronicowy projekt ostateczny, instrukcje obsługi i serwisu poszczególnych elementów dostarczonych przez podwykonawców, zaś oszalałmiające siedem tysięcy stron maszynopisu reszty dokumentacji – od ambitnych planów i pierwszych szkiców, po raporty kolejnych ustępstw i technicznych kompromisów – spoczyło w londyńskich archiwach Ministerstwa Transportu.

Utrzymanie tak wielkiego projektu w tajemnicy przed całym światem, a już zwłaszcza przed ciekawskimi dziennikarzami, nie było zadaniem łatwym; raz, że hangar, w którym sterowiec ochrzczony mianem R101 powstawał, jeden z dwóch zlokalizowanych w Cardington, był drugim największym obiektem w całym Imperium Brytyjskim, ustępując jedynie nieznacznie swemu odpowiednikowi w Karachi, dwa, że na rok przed planowanym wielkim lotem sterowiec wznosił się w powietrze i wykonał ponad stumilową pętlę nad południowo-wschodnią Anglią.

W połowie października 1929 roku postanowiono wypuścić po raz pierwszy w powietrze skrytego do tej pory w czeluściach hangaru kolosa. Ludność Cardington, Londynu i wszystkich miast położonych na trasie przelotu przystawała w marszu od codziennej sprawy do codziennej sprawy i palcami pokazywała sobie unoszący się w powietrzu kształt. Prawidłowe odgadnięcie jego rzeczywistych rozmiarów było zadaniem bardzo trudnym, wymagającym nawet nie tyle ogromnej, specjalistycznej wiedzy z zakresu ostatnich postępów techniki budowy sterowców, co wybujałej wyobraźni, bowiem rzeczywiste rozmiary kolosa dalece przerastały wszelkie szacunki, które ktokolwiek mógłby poczynić.

Sterowiec ten był wielki. Rekordowo wielki. Minimalnie krótszy od ukończonego rok wcześniej Grafa Zeppelina LZ 127, ale o jedną trzecią obszerniejszy, kilkukrotnie przerastając rozmiarem największe dotychczasowe konstrukcje brytyjskie za wyjątkiem bliźniaczego R100 i jednoznacznie wskazując, kto od tego momentu zapanuje nad niebiosami.

Wzniesieniu się kolosa w powietrze towarzyszyły wiwaty ze strony zgromadzonych w Cardington dygnitarzy, z ministrem transportu baronem Christopherem Thomsonem na czele, który pozwolił sobie wyrazić radość przez odkorkowanie szampana. W bazie trwało święto, tymczasem załoga płynącego na pułapie zaledwie tysiąca stóp R101 miała przed sobą kilka godzin pracy. Skrupulatnie czyniono notatki o każdym możliwym elemencie statku, jego zachowaniu w powietrzu i działaniu poszczególnych jego elementów.

Krótką pętlą nie wykazała żadnych niepokojących tendencji, okręt zachowywał się bardzo przewidywalnie i stabilnie, wszystkie zaplanowane wcześniej manewry wykonując z powolnym dostojenstwem. Po niecałych sześciu godzinach od odlotu, kolos zaciągnął do wzniesionej niedawno wieży sterowcowej w bazie Cardington, a obszerny raport z przebiegu lotu przedłożono kierownictwu projektu.

ŁZY KLAUNA

Patrzę na swoje odbicie w lustrze na drzwiach szafy, rozpinając powoli guziki koszuli. Widzę siwe włosy na klatce piersiowej wystające spod podkoszulka. Jest ich coraz więcej, ale nie robią na mnie wrażenia. Nigdy nie robiły. Wiek ma swoje prawa, a ja jestem tylko człowiekiem. Nigdy nie robiłem nic, żeby powstrzymać upływ czasu. Nie farbowałem włosów, nie maskowałem zmarszczek, nie świrowałem, kiedy zaczęły mi się robić zakola. Los i tak potraktował mnie łagodnie. Siwieję z godnością, nie łysieję w zastraszającym tempie, jak niektórzy z mych znajomych z młodości, którzy jeszcze przed trzydziestką zyskali czoło łagodnie opadające na plecy.

Ściągam koszulę i rzuca ją niedbale na oparcie krzesła przy toalecie mojej żony. Wiem, że ją to denerwuje, ale po tylu latach małżeństwa nauczyliśmy się przymykać oczy na nasze przyzwyczajenia i przywary. Nie ma sensu drzeć kotów o każdą bzdurę, nauczyły mnie tego wcześniejsze związki i małżeństwa. To prowadzi tylko do jednego – uciezki. W którąkolwiek stronę. Do znajomych, w inne ramiona, w alkohol i używki. Od pierwszej żony uciekałem, gdzie się dało. Wciąż się zastanawiam, po co w ogóle się z nią wiązałem... Tak, dziecko było ważnym powodem, ale czy rzeczywiście musieliśmy rozwiązać to w taki sposób? Jedynym pozytywnym aspektem tamtych czasów jest mój pierwszy syn. Nie ma większych powodów do szczęścia i radości mężczyzny, niż potomek płci męskiej. Wiele mówi się o tym, że mężczyźni pragną synów. To jest uwarunkowane genetycznie,

jakiś atawizm tkwiący w naszym DNA. I wielu zaprzecza temu, twierdząc, że mężczyźni tak mówią, dopóki nie urodzi im się córka, bo to ona jest potem oczkiem w głowie tatusia. Jest to ewidentne pomówienie, rozsiewane przez tych frustratów, którzy syna się nie doczekali i muszą zajmować się rosnącym w domu babińcem. Mam dwóch synów i córkę. Wiem więc, co mówię. Córka jest oczkiem w mojej głowie, moim najdroższym skarbem, który chciałem zawsze ochronić przed złem tego świata. Ale to synowie zajmują najważniejsze miejsca w moim sercu. To moja prawdziwa spuścizna i jedyny ślad na ziemi, jaki po mnie pozostanie.

Ściągam podkoszulek, wyswobadzając krągły brzusek, którego dorobiłem się przed trzydziestką za sprawą słabości do piwa w dużych ilościach. Był czas, że wierzyłem, że to przez gaz zawarty w niektórych z nich, dlatego przeszedłem na mniej gazowane. Później w ogóle rzuciłem piwo, co w ogóle nie wpłynęło na poprawę mojej figury. Brzuszek został jaki był, zapewne na skutek nocnego podjadania. Albo genów po ojcu. Albo na złość. Obojętne. Nim również przestałem się przejmować wraz ze skończeniem trzydziestu lat. Tego nauczyłem się w życiu bardzo szybko i pozwoliło mi to uniknąć wielu stresujących sytuacji. Swoje ciało musisz akceptować, nie będziesz mieć innego. Zbyt wielu mam znajomych, którzy zatracili się przez swoje kompleksy, albo próbowali na różne sposoby poprawić naturę, czyniąc z siebie jakieś dziwaczne monstra, w najlepszym wypadku sztuczne lalki, których widok może cieszyć tylko ich własną próżność. Zawsze wiedziałem, że nie będę siatkarzem, że jestem dość mocno owłosiony, a moją urodę można określić jako oryginalną. Nigdy mi to nie przeszkadzało, tak jak nie przeszkadzał później brzuch. Oczywiście, w szkole średniej moje nadmiernie obrosnięte nogi czy klatka piersiowa budziły śmiech w przebieralni przed zajęciami z wychowania fizycznego, ale były to przypadki rzadkie i wywołane przez osoby, które wyraźnie miały swoje problemy

i deficyty nie pozwalające im odnaleźć się w społeczności. Nie byłem ich ofiarą, bo i nie jestem tym typem. Gdy trzeba, w gębę zawsze mogłem dać. Czasem wystarczała tylko tego świadomość. Poza tym to ja nie narzekałem na powodzenie u dziewczyn. Nie wiem, czym było ono powodowane, być może tym, że lubiłem słuchać. Mogłem siedzieć i słuchać godzinami, co opowiadają dziewczyny, traktując mnie jak najlepszego przyjaciela. Przynajmniej tak to wtedy wyglądało. Prawda jest taka, że ja najczęściej byłem tak nieśmiały, że nie wiedziałem, co powiedzieć i z czasem nauczyłem się mówić to, co one słyszeć chciały, wzbudzałem ich zainteresowanie żartem, ale też i jakimiś problemami, które wymyślałem na poczekaniu, żeby dać im poczucie więzi i bliskości, jakiś sekret, którym i ja się dzielę. Nie wiem, czy to wtedy nie zacząłem nosić maski. A może wcześniej?

Odrzucam podkoszulek, rozpinam pasek i zrzucam spodnie. Moje blade kolana świecą śmiesznie w szklanej tafli lustra. Nigdy nie przepadałem za sportem i opalaniem się. Uważałem to za stratę czasu. Opalając się tak naprawdę pławimy się tylko we własnej próżności, tracąc minuty i godziny, które możemy spożytkować na coś innego. Choćby na czytanie. Niestety, czytając na słońcu zawsze dostawałem podrażnienia spojówek, a chodzenie do solarium uważałem, i uważam dalej, za skrajną fanaberię. Sport też był tylko tym, czym powinien być w okresie dojrzewania. Rozrywką pozwalającą spędzić czas z przyjaciółmi i kolegami. Dziś stał się jakimś kuriozum. Z kolegami spotyka się na Facebooku i Twitterze, ewentualnie w jakimś pubie, po to, żeby jak najwięcej wypić, wyjarać i uwalić się, jak to tylko możliwe. A sport uprawia się dla jakiejś dziwnej mody. Bieganie, machanie hantlami, pływanie... Nie mam nic przeciwko temu, ale nikt mi nie wmówi, że większość tych ludzi robi to dla siebie. Kolejna próba szukania poklasku wśród innych. Pytanie, czy ja się od nich tak bardzo różnię? Sport uprawiałem w szkole średniej, z całkiem niezłymi wynikami

w lekkoatletyce, a później zapasach. Kondycja jakaś mi została, ale nigdy specjalnie o nią nie dbałem. Wręcz przeciwnie, solidnie ją zaniedbałem, szczególnie w latach, gdy nie stroniłem od alkoholu i narkotyków. Dlatego odeszła ode mnie druga żona. A może to ją odepchnąłem? Nie ma to już znaczenia.

Ściągam skarpetki, zwijam je i wrzucam pod krzesło, na którym zostawiłem większość odzieży, następnie pozbywam się bielizny. Widzę siebie lustrze, siedzącego na łóżku, na którym śpi moja ukochana żona. Ta jedyna, prawdziwa, ta, która powinna być ze mną od zawsze, która będzie na zawsze. Piękna, kochająca i wyrozumiała. A ja? Oto cały ja, w tym lustrze. Nagi błazen bez maski, śmieszny facet w średnim wieku, z kurzymi łapkami wokół oczu i poprószonej siwizną włosami. Zawsze uważałem, że nie ma nic śmieszniejszego, niż goły facet. Nie chodzi o penisa, który jak nie sterczy idiotycznie, to smutnie dynda. Nie chodzi też o mosznę, która dynda zawsze. W związku z przyrodzeniem nigdy nie miałem kompleksów, co więcej, był czas, gdy właśnie z tego elementu mej budowy byłem najbardziej zadowolony. Później przekonałem się, że w gruncie rzeczy nie ma to wielkiego znaczenia, poza kolejnym syceniem własnej pychy. Ale może po prostu nie rozumiem tych, których natura nie obdarzyła solidnym lub chociaż godnym przyrodzeniem. Pamiętam, jeszcze w czasach zapasów w liceum poszliśmy po treningu po prysznicę, a potem do szatni, gdzie ubierając się, gadaliśmy, jak to gówniarze, o dziewczynach ze szkoły, snując plany podrywów i podbojów seksualnych. Podobała mi się wtedy jakaś dziewczyna, o czym wspomniałem, ale pewien muskularny kolega napiął mięśnie i zarechotał:

- Zapomnij, chudzinko! Ona lubi dobrze zbudowanych facetów.

Zaśmiałem się razem z nim i resztą szatni, po czym wstałem i pozwoliłem, żeby mój ręcznik opadł na podłogę. Podparłem się pod boki i również zarechotałem, stwierdzając, że nie mam

co narzekać. Pomieszczenie wypełniła kolejna fala śmiechu, ale mój umięśniony kolega już się nie śmiał. I nigdy nie zrozumiałem, czemu od tamtej pory zawsze był wobec mnie opryskliwy, a na treningach zapominał, że nie walczymy o medale. No dobra, domyślałam się dlaczego, ale nie całkiem to pojmuję. Tak jak dramatu dawnego przyjaciela, który po jednej z popijaw wyznał, że on jeszcze nigdy, z żadną dziewczyną, bo się wstydzi, bo ma za mały sprzęt. Co można powiedzieć w takiej chwili, szczególnie, gdy wracasz z pubu z szumiącą głową i szczypiącymi oczyma, a w myślach masz tylko poduszkę i kołdrę? Odrzekłem, że nie ma się czym przejmować, bo to nie rozmiar, a technika, i całą resztę tych bzdur, jakie można wybełkotać wraz ze wstającym świtem, gdy mijają nas ludzie spieszący do pracy i swoich obowiązków, patrząc na nas jak na kompletnych degeneratów. Przyjaciela mój wywód nie uspokoił, wypił widać więcej niż powinien, narzekał dalej, żałąc się, że on ma naprawdę problem, i że on nigdy, i że się zabije. Klasyka. Nie wiem czemu, ale spytałem, myśląc w kategoriach dramatycznych dla mnie:

– No, ale stary... Czym się przejmujesz? Ile tam masz? Dziesięć centymetrów?

Ten zatrzymał się jakby rażony gromem i wykrzyczał zszokowany:

– Dziesięć centymetrów? Ty wiesz, ile to jest dziesięć centymetrów? Chciałbym!

Wróciliśmy do domów w ciszy. Bo co można było powiedzieć? Śmiech przez łzy, prawda? Nie mogłem pojąć jego dramatu. Wiem, że później stoczył się, zaczął pić i ćpać, wreszcie popełnił samobójstwo. Nie wiem czy zaznał przedtem kobiety.

Kładę się do łóżka nagi. Uwielbiam spać nago, kiedy nic mnie nie krępuje. Wiem, mówiłem, że nie ma nic śmieszniejszego niż nagi mężczyzna. Tak to już natura sprytnie wykombinowała, że kobiety wyglądają tak, że chce się je rozbierać, a faceci, żeby jak najdokładniej ich ubrać. Może to znów jakiś atawizm,

kult siły i potęgi? A może to ja mam jakiś problem? Wiem, że mam. Patrzę na moją śpiącą żonę, jak łagodnie oddycha, jak drgają jej powieki. Mam całe mnóstwo problemów, z którymi nie umiem sobie poradzić, bo nauczyłem się niczym nie przejmować. Bo zacząłem nosić maskę przed światem, maskę, która przylgnęła do mnie tak mocno, że tylko teraz, w tej chwili, leżąc nago w łóżku czuję się sobą. I nie wiem, czy jestem z tego zadowolony. Bo ja też kiedyś zacząłem pić i ćpać, tak jak mój przyjaciel, który się stoczył i któremu pomóc nie potrafiłem. Ale ja się nie stoczyłem. Ja zostałem gwiazdą. Osiągnąłem sukces. Zdobyłem sławę i bogactwo. Mam wszystko, o czym mogłem marzyć jako dziecko, wszystko, czego pragnąłby mężczyzna.

Kładę głowę na poduszce.

Jestem bardzo zmęczony.

Bezustannie.

Zamykam oczy, wiedząc, że minął kolejny dzień mojego życia.

Kolejny dzień, kiedy nie umarłem.

Niestety.

AUTORZY

ADAM FRON

Urodzony w 1991 roku olsztynianin, z wykształcenia geodeta, z zawodu doktorant. Do tej pory publikował w zbiorach *Toystories* (Morpho, 2014) i *Fantazjach Zielonogórskich V* (Ad Astra, 2015). Znalazł się również na liście autorów zbioru *Zwierzozwierz* (Gmork, 2017). Słucha muzyki od heavy do death metalu, fan Football Managera i dobrych piw.

KACPER KOTUŁAK

Okołoolsztynianin z rocznika '91, geodeta z głową w kosmosie, u progu kariery naukowej, miłośnik fantastyki w niemal wszystkich jej przejawach oraz muzyki rockowej w pojęciu możliwie najszerszym, ale ze szczególnym wskazaniem na brytyjskie zespoły heavymetalowe założone w ostatnim tygodniu 1975 roku. Można go spotkać w warmińskich lasach oraz antologiach *Toystories* (Morpho, 2014), *Małe Problemy Wielkich Bohaterów* (Craiss, 2014) oraz *Pokłosie* (Gmork, 2015).

KAZIMIERZ KYRCZ JR

Prozaik, redaktor i publicysta. Współautor zbiorów opowiadań: *Piknik w piekle* (Szerg, 2004), *Horrorarium* (Presto, 2006), *Twarze szatana* (Grasshopper, 2009), *Chory, chorszy, trup* (Fu Kang, 2011) i *Lek na lęk* (Fu Kang, 2011), a także powieści: *Siedlisko* (Grasshopper, 2009), *Koszmar na miarę* (Grasshopper, 2010), *Efemeryda* (Oficynka, 2011), *Wojna świrów* (Studio Truso, 2014). Autor powieści: *Podwójna pętla* (Żywiec, 2013) oraz zbioru opowiadań *Femme fatale* (Forma, 2015). Jego utwory znalazły się w licznych antologiach, m.in. *City*, *Halloween*, *Księga strachu* czy *Infections*. Tłumaczony na angielski, rosyjski, czeski i słowacki. Najnowsza powieść Kyrca ukaze się jeszcze przed wakacjami.

ŁUKASZ RADECKI

Rocznik '79. Autor i współautor kilkunastu książek i zbiorów opowiadań, m.in. *Lek na lęk* (Fu Kang, 2011), *Pradawne zło* (Replika, 2014), *Zombie.pl* (Zysk i S-ka, 2016), *Nienasycony* (Phantom Books, 2017). Nauczyciel z powołania, muzyk z zamiłowania.

JAROSŁAW TUROWSKI

Urodził się w 1990 roku, mieszka w Abramowie, na Lubelszczyźnie. Pisze głównie horrory i opowiadania obyczajowe. Publikował w antologiach: *Człowiekiem jestem* (Morpho, 2013), *Pokłosie* (Gmork, 2015), *City 3* (Forma, 2016). Zafascynowany prozą Stephena Kinga, Cormaca McCarthy'ego, Clive'a Barkera i Dana Simmonsa. Oddany fan sagi Kinga o Rolandzie Rewolwerowcu i Mrocznej Wieży.

Juliusz Wojciechowicz

Rocznik '77. Autor zbioru *Bez znieczulenia* (Gmork, 2016). Pomysłodawca i współautor książek *Pokłosie* (Gmork, 2015) oraz *Hardboiled* (Gmork 2015). Publikował m.in. w antologiach: *Człowiekiem jestem* (Morpho, 2013), *Toystories* (Morpho, 2014), *Księga wampirów* (Studio Truso, 2014), *Horror na Roztoczu 2: Insomnia* (Alter Manes, 2015), *City 3* (Forma, 2016).

Kupując wspierasz:



Opowiadania przedstawione w *Iron Tales* to zapiski z podróży w odległe wymiary świata Iron Maiden. To istny kalejdoskop ukazujący jego wielobarwność. Niektóre utwory stanowią próbę wiernego odzwierciedlenia liryk zespołu. W innych muzyka jest jakby tłem dla narracji – sączy się w lokalu, w którym siedzą bohaterowie, albo rozlega się jako sygnał w telefonie. Jeszcze inne inspirowane są okładkami albumów, zaś kolejne to luźne wariacje na temat tytułów piosenek. Każde opowiadanie interpretuje i pogłębia motyw, na którym się opiera, i aż prosi się o tworzenie prequeli i sequeli, o dalsze rozwijanie historii, o coraz bardziej szczegółowe nakreślenie osobowości bohaterów w kolejnych tomach. Twórcy *Iron Tales* zapraszają Czytelnika do labiryntu wyobraźni, z którego nie ma wyjścia.

Krzysztof Azarewicz

Gdy w 1975 roku Steve Harris zakładał własną kapelę, zapewne nie zastanawiał się, jak to wpłynie na życie milionów przyszłych fanów. *Iron Tales* to literacka składanka inspirowana twórczością kultowego, heavymetalowego zespołu – Iron Maiden, popełniona przez autorów, którzy bez mrugnienia okiem oddaliby dusze Eddiemu. Znajdują się tu opowiadania z pogranicza grozy, humoru i groteski, w których każdy fanatyk legendarnej grupy znajdzie coś dla siebie.

Kiedy raz wkroczysz do świata Iron Maiden – nie ma już ucieczki.

Up THE IRONS!

www.gmork.pl



fb.com/wydawnictwo.gmork

GRABARZ.NET

CZEKAM NA
APOKALIPSE
ZOMBIE



SANKTUARIUM

Okolice
STRACHU



OKIEN
NA HORROR

nie
literki